Nr. 18. Królewska Huta, wtorek dnia 1. Marca 1889. Rok I.

Głos Ludu Górnoszlązkiego.

Własność obywateli górnoszlązkich: Kotuła i sp.

Pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym.

Hej! Bracia, w Imię Boże — Bóg nam dopomoże!

Redaktor główny i odpowiedzialny: Bronisław Koraszewski.

„Glos Ludu Górnoszlązkiego“ wychodzi co **Wtorek i Piątek.** Przedplata kwartalna wynosi na pocztach, w Redakcyi i u panów agentów **1 markę** (70 cent.). W Królewskiéj Hucie z odnoszeniem do domutakże tylko 1 markę — Pojedyńczy numer 10 fen. **Ogłoszenia** przyjmuje się **za opłatą 15 fen.** od wiersza petytowego. **Listy** jako i **przekazy pocztowe** adresować należy **Administracya„ Głosu“ (B. Koraszewski)** Królewska Huta (Königshütte O.-S.).

Redakcya i Administracya znajduje się w Królewskiej Hucie na Cesarskiéj ulicy nr. 12.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Od Redakcyi.

Czytelników naszych z bliższych i dalszych stron prosimy uprzejmie, aby nam podawali choćby i krótkie wiadomości o wypadkach nadzwyczajnych. Będziemy za to bardzo wdzięczni.

Słyszymy także, iż niektórzy z naszych czytelników ociągają się z korespondencyami w tem przekonaniu, iż Redakcya „zasypana“ jest korespondencyami. Tak źle nie jest. Prosimy tylko pisać, jak kto umie, a co się tylko da, to opracujemy i umieścimy.

Do Poznania. Ktoś w Poznaniu chodzi sobie na pocztę i odbiera naszą gazetę, nie zapisawszy jej. Już kilka razy z tego powodu „Wielkopolanin“ źle na tem wyszedł, gdyż ten „ktoś“ zabrał mu jego numer. Niech ten „ktoś“ raczy się do nas zgłosić, a jeżeli się wykaże, że niepodobno mu się zdobyć na jednę markę abonamentu, to mu pismo nasze będziemy darmo posyłać, ale chcielibyśmy przynajmniej wiedzieć, kto to jest.

Rozwiązanie zagadki zamieścimy w następnym numerze.

Zamiłowanie do pracy u robotników.

Wielu chlebodawców i przedsiębiorców skarży się bezustannie na to, iż teraz robotnicy nie okazują już zamiłowania do pracy w tym stopniu, jak to dawniej miało miejsce. Niechcemy tu dochodzić, czy twierdzenie takie jest słuszne, lub niesłuszne, lecz niech nam będzie wolno przynajmniej zapytać kto w danym razie temu winien! Wyraźnie więc pytamy: „Jeżeli robotnicy w obecnych czasach nie okazują zamiłowania do pracy, kto temu winien?

Na to pytanie zaprawdę nie trudno nam będzie w dalszym ciągu odpowiedzieć.

W średniowiecznych czasach, a więc przedtem jeszcze, nim odkryto Amerykę, i kiedy to narody nie nazywały się tak cywilizowanymi, jak teraz, robotnik wobec swojego pana inne zupełnie zajmował stanowisko. Pan przedstawiał wobec swych robotników niejako głowę rodziny i czuwał nad sługami swymi, którzy dla niego pracowali, jak ojciec nad dziećmi. Ten wzajemny stósunek trwał jednak tylko tak długo, póki przemysł na nizkim znajdował się stopniu. Skoro zaś przemysł zaczął się podnosić, skoro na miejsce małych warsztatów, zaczęły powstawać większe fabryki i t. d., stósunek chlebodawcy do robotnika stawał się coraz zimniejszym. Przyczyny tego są jasne: W małym warsztacie miał chlebodawca tylko z kilkoma robotnikami do czynienia, widział ich więc co dzień, mówił z nimi i mógł dokładnie poznać usposobienie każdego; mógł się przekonać, na czem któremu zbywa, co mu dolega. Gdy poczęły powstawać większe warsztaty, fabryki, wtenczas zbliżenie się robotnika do pana czyli do chlebodawcy było coraz trudniejszem, bo pan mając tyle i tyle set lub nawet tysięcy sług oczywiście nie mógł każdemu się udzielać, lecz musiał pewną część swych obowiązków zlecić swym pomocnikom czyli urzędnikom, od których woli robotnicy stali się zależnymi.

Zkąd więc widać, że z początku robotnicy mieli najlepiej, gdyż mieli wprost z chlebodawcami do czynienia, później im bardziej świat postępował, im bardziej nowomodna cywilizacya zaczęła się szerzyć, tem gorsze nastawały czasy dla robotników, aż, nareszcie doszliśmy do tak nędznych stósunków, jak oto obecne. Niech teraz robotnicy sami powiedzą, czy tak nie jest, jak mówimy, czy to nieprawda. Nam się zdaje, że żaden niezaprzeczy, że owszem każdy przyzna nam najzupełniej słuszność, boć, ażeby twierdzenie dowodami poprzeć, potrzebujemy tylko wyjść na ulicę i spotkawszy jakiego starszego robotnika zapytać, czy to dawniej, (już za jego życia) było lepiej lub gorzej, jak teraz. Z pewnością powie, że lepiej, boć chybaby kłamał, gdyby co innego twierdził. — Więc czemu jest gorzej? — Po prostu dla tego, że podług dzisiejszego prawa roboczego siła robotnika bywa uważaną za towar, który tak długo się używa i wyzyskuje, póki go się do szczętu nie zniszczy. Ale ta siła robotnika, ten towar różni się bardzo od innych towarów, które na przykład kupcy sprzedają. Kupiec bowiem gdy swój towar sprzeda, to jest rad, że go się pozbył i że jeszcze na tem zarobił, ale towar robotnika, pod którym się tu rozumie siłę i czerstwość, ten towar jest nierozdzielny z osobą. Z siłą roboczą sprzedaje robotnik sam siebie i to za cenę tak nizką, że w następstwie ani siebie ani familii nie zdolen jest utrzymać. Zajrzyjmy teraz do lazaretów i policzmy tych nieszczęśliwych, którzy już ten swój drogocenny towar, te swoje siły, sprzedali, zajrzyjmy do kopalń i hut i przypatrzmy się tym, którzy choć niby to jeszcze tego towaru w zupełności nie pozbyli, to jednak blizcy są tego, aby pod naciskiem ciężkiej pracy upaść i zrównać się z tymi, których lazaret mieści, a przekonamy się, że nie ma przesady w słowach naszych i że prawdą jest, iż siła robotnika bywa po dziś dzień uważaną tylko za zwyczajny towar, lecz za nic więcej.

Czy w takich stósunkach robotnik może mieć zamiłowanie do swego zawodu?

Niech nowomodne państwa nie myślą, że usunąwszy niewolnictwo, a postarawszy się o wolność

Dzielny atleta.

(Powieść amerykańska.)

Ostatnie dni jesieni są dla Anahein, miasteczka położonego w południowej Kalifornii, (w Północnej Ameryce) dniami zabaw i uroczystości. Kończy się naówczas winobranie całe, więc miasto roi się tłumami ludności robotniczej. Nic bardziej malowniczego nad widok, jaki przedstawia ta ludność złożona w mniejszej części z Meksykanów, głównie zaś z Indyan, którzy dla zarobku przybywają aż z dzikich gór San-Bernardino, leżących w głębi kraju. Jak jedni tak drudzy rozpościerają się na ulicach i placach do sprzedania, czyli tak zwanych lochach, na których sypiają pod namiotami, albo wprost pod gołem niebem, wiecznie w tej porze roku pogodnem. Śliczne to miasto otoczone kępami różnych roślin i drzew pieprzowych, wre jakby jarmarkiem gwarnym i hałaśliwym, a stanowiącym dziwne przeciwieństwo z głęboką i poważną ciszą pustyni porosłej kaktusami, która zaczyna się zaraz za polami winogradu. Wieczorem, gdy słońce kryje promienny swój krąg w tonach oceanu, a na różowem niebie widać również różowo oświetlone klucze dzikich gęsi, kaczek, pelikanów, mew i żórawi, ciągnących tysiącami z gór ku oceanowi, w mieście zapalają się ogniska i rozpoczyna się zabawa. Komedyanci murzyńscy klekocą w kastaniety, przy każdem ognisku słychać odgłosy bębnów i mrukliwe tony „bandża;“ Meksykanie tańczą na rozciągniętych ponszach ulubione swe bollero, Indyanie wtorują im trzymając w zębach długie białe laski kiotte, lub rzucając okrzyki „e viva!“ ogniska sycone czerwonem drzewem huczą i strzelają iskrami, a przy krwawych ich blaskach widać skaczące postacie, dokoła zaś miejscowych osadników pod ręką z pięknemi żonami i córkami przypatrujących się zabawie.

Dzień jednak, w którym ostatnie grono zostaje wytłoczone indyjskiemi nogami, jest jeszcze uroczystszy, zjeżdża albowiem wówczas z Los Angelos wędrowny cyrk pana Hirscha, Niemca, a zarazem właściciela menażeryi złożonej z małp, kuguarów, lwów afrykańskich, jednego słonia i kilkunastu zdziecinniałych ze starości papug. Jakoż Indynanie oddają ostatnie pieniądze, których nie zdołali przepić, aby tylko widzieć, nietyle dzikie zwierzęta, bo tych w San-Bernardino nie brak, ile artystki, atletów, i wszystkie cuda cyrkowe, które wydają im się co najmniej „wielką medycyną,“ to jest czarodziejstwem możebnem do spełnienia tylko z pomocą sił nadprzyrodzonych.

Ściągnąłby jednak na siebie słuszny, a Bóg widzi niebezpieczny gniew pana Hirscha, ktoby myślał, że cyrk jego jest przynętą tylko dla Indyan, Chińczyków lub Murzynów. Przeciwnie: przybycie cyrku pociąga za sobą zjazd nietylko okolicznych osadników, ale nawet mieszkańców sąsiednich mniejszych miast. Ulica „Pomarańcz“ bywa wówczas tak zapchana wozami i powozikami najrozmaitszych kształtów, że niepodobna się przecisnąć. Cały wielki świat staje jak jeden mąż. Młode zgrabniutkie aktorki z jasnemi grzywkami na oczach, powożąe z kozłów, rozjeżdżają z wdziękiem ludzi po ulicach, szczebiocą i szczerzą ząbki; zamężne damy z okolicy, ubrane według ostatniej mody, z dumą wspierają się na ramionach ogorzałych farmerów (osadników), którym za cały strój służą obdarte kapelusze, rypsowe spodnie, i flanelowe koszule, zaściegnięte w braku krawatów na hetkę i pętelkę.

Wszystko to wita się, nawołuje, ogląda bacznem okiem stroje i obgaduje potrochu.

Wśród powozików zasypanych kwiatami i wyglądających jak wielkie bukiety, jeżdżą na rumakach młodzi ludzie i przechylając się z wysokich kulbak meksykańskich, zaglądają ukradkiem pod kapelusze dziewicze. Pół-dzikie konie przerażone hukiem i gwarem toczą krwawemi oczyma, wspinają się i kwiczą, ale dzielni jeźdzcy nie zdają się nawet zwracać na to uwagi.

Wszyscy rozmawiają o szczegółach przedstawienia wiecornego, które świetnością ma przejść wszystko co dotąd widziano. Istotnie olbrzymie ogłoszenia o cudach prawdziwych. Sam dyrektor Hirsch, „artysta na bacie,“ ma dać koncert z najsroższym ze znanych dotąd lwem afrykańskim. Lew rzuca się wedle programu na dyrektora, któremu za całą obronę służy tylko bat. Ale zwykle to narzędzie zmieni się w cudownych rękach (zawsze według programu) na ognisty miecz i tarczę. Koniec owego bata ma być zjadliwy jak wąż grzechotnik, migotać jak błyskawica, strzelać jak piorun i trzymać w ciągłem oddaleniu potwór, który napróżno miota się i chce rzucić na artystę. Nie na tem jednak koniec: szesnastoletni Orso, dzielny atleta, zrodzony z ojca białego a matki Indyanki, ma dźwigać na sobie sześciu ludzi, po trzech na każdem ramieniu; prócz tego dyrekcya ofiaruje sto dolarów każdemu człowiekowi „bez względu na kolor skóry,“ któryby młodego atletę zmógł w ręcznej walce. Głuche wieści chodzą po Anaheim, że z gór San Bernardino przybył umyślnie dla próbowania się z Orsem Gryzli-Killer (zabijacz niedźwiedzi), sławny z nieustraszoności i siły wnicznik, który jak Kalifornia Kalifornią, pierwszy z ludzi ośmielił się uderzać na szarego niedźwiedzia z toporem i nożem.

Prawdopodobne zwycięztwo „zabijacza niedźwiedzi“ nad szesnastoletnim atletą cyrkowym podnieca do najwyższego stopnia umysły wszystkich męzkich mieszkańców Anaheimu, jeśli bowiem Orso, który dotychczas wszędzie rzucał na ziemię najsilniejszych mocarzy zostanie teraz zwyciężony, nie-

i dla najniższych klas społeczeństwa, uczyniły tem wielkie dobrodziejstwo. Bynajmniej! Wolność ma człowiek od samego Boga, a tej wolności, póki jej używamy w właściwych granicach i w dobrem znaczeniu, nikt nam nie ma prawa odbierać; jeżeli chcemy pogańskie narody prawdziwie przewyższyć, to musimy dla naszych robotników być nie tyle dobroczynnymi, jak sprawiedliwymi i wdzięcznymi. Dobrodziejstw robotnicy się nie domagają, ale sprawiedliwości. Kto się mozoli, komu praca pot na czoło wyciska, ten nie potrzebuje od nikogo łaski, ale słusznie żąda uznania i sprawiedliwości. Niechże przecież ci, którzy to robotników za nic mają, rozważą, że robotnik jest pierwszą podwaliną społeczeństwa i że dobrobyt i rozkwit państwa co najmniej od czynności robotnika tak samo zależy, jak od działalności samego ministra. Ale nie, dziś świat jest przewrotny, więc dziś, choć się niektórzy zastanawiają nad nędzą i niedolą ludów, to jednak, nie zbadawszy gruntownie przyczyn, na mylne wpadają pomysły. Są bowiem tacy, którzy bez ogródki twierdzą, iż przyczyną obecnej niedoli jest nieumiarkowanie czyli brak wstrzemięźliwości u ludu. Bardzo to pięknie, ale przypatrzmy się życiu codziennemu właśnie tych świętoszków, a przekonamy się, że właśnie oni najwięcej hołdują próżniactwu, nieumiarkowaniu w jedzeniu i piciu i innym zbytkom, i tacy mają odwagę ubogiemu ludowi morały prawić: „Nie stósujcie się do mody, bo to wam niepotrzebne; nie palcie tytoniu, nie zażywajcie tabaki; pijcie tylko samą wodę; gdy jesteście wolni od pracy obowiązkowej, to pracujcie jeszcze z własnej woli, nie żeńcie się, bo nie będziecie mieli na wyżywienie waszej familii“...

A jakże to jest ze święceniem niedzieli, czy to też robotnikowi niepotrzebne? Naszem zdaniem popełniają ci, którzy przeciwko święceniu niedzieli występują, grzech śmiertelny. Kto przez 6 dni w tygodniu z zabawy na zabawę chodzi, ten niech na siódmy dzień odprawia kuczki i pokutuje, ale kto przez 6 dni w pocie czoła pracuje, ten musi mieć przynajmniej jeden dzień, w którym może wolniej odetchnąć: najprzód pomodlić się w kościele, a potem rozerwać się w gronie przyjaciół lub w kółku rodzinnem.

Jeżeli robotnik ma być traktowanym inaczej, jak każdy inny uczciwie pracujący człowiek, jeżeli za swe trudy nawet dobrego słowa nie usłyszy, jakże można od niego wymagać „zamiłowania do pracy!“ Kto mnie bez prawdziwego powodu znieważa, tego ja też wysoko cenić nie mogę! Kto okazuje widoczną chęć wyzyskania mnie, temu ja nie mogę być przychylnym, tylko będę się starał o ile możności temu zapobiedz. To się przecież samo przez się rozumie. Złe traktowanie, nędzna płaca i za długi czas pracy, to są przyczyny, które pozbawiają robotnika zamiłowania do zawodu. Skargi i narzekania muszą więc przeciwko zupełnie innym ludziom być zwrócone, ale nie przeciw robotnikom.

Przegląd polityczny.

— **Parlament niemiecki** zbierze się prawdopodobnie około 10go Marca.

— **Książę Bismark** dawał w piątek, jak zwykle co rok, dla członków prrlamentu obiad. Pogadanka poobiednia była dosyć zajmującą. Kanclerz żalił się na kłopoty, jakie mu sprawiają „tak zwane“ kolonie a szczególnie niezręczność wysyłanych tam urzędników. Ściągało się to głównie do kwestyi samoańskiej. To co tam skutkiem tego zaszło, nie przerwie jednak, zdaniem kanclerza, przyjaźnych stósunków, jakie od stu lat istnieją między Niemcami a Ameryką północną.

— **Kapitan niemiecki Wissmann**, o którego wyjeździe do Afryki w numerze 16-tym donosiliśmy, już jest niedaleko Sansibaru.

Z Aleksandryi (miasta w Egipcie, w Północnej Afryce), nadeszła wiadomość, że Wissmann przybył tam już i zatrzymał się na chwilę, w przejeździe do Sansibaru. Ma on może zamiar wyćwiczenia sobie pewnej części sił wojskowych w Egipcie, o czem już dawniej pisma niemieckie wspomniały.

— **Do wysp Samoa** postanowili Niemcy dla ukarania króla Matafy wysłać wielką flotę wojenną obejmującą 70 armat i przeszło półtora tysiąca ludzi. Flota ta dzisiaj już jest w drodze i za parę tygodni stanie na miejscu przeznaczenia.

Jest to potęga, jak na stósunki morskie, bardzo znaczna. Zdaje się też, że wysłanie takiej siły do Samoy ma inny cel na oku, a nie urządzenie odpowiedniej do poparcia interesów niemieckich demonstracyi. Wprawdzie powiedziano w białej księdze niemieckiej wyraźnie, iż o zabraniu wysp samoańskich ani mowy być nie może ze względu na interesy angielsko-amerykańskie, ale zaznaczono w końcu, że rząd niemiecki postara się bezwarunkowo o zadośćuczynienie za wyrządzone interesom niemieckim przez krajowców szkody i że pomści śmierć owych kilkudziesięciu marynarzy, poległych w potyczkach z krajowcami.

Zanosi się więc na nowe krwawe walki. Królik Matafa rozporządza podobno znacznemi siłami, wynoszącemi kilka tysięcy wojowników, których usłużni Amerykanie zaopatrzyli już w karabiny odtylcowe i w znaczne zapasy nabojów. Cała ludność wyspy stanęła dzisiaj już podobno po stronie Matafy, podczas gdy sprzymierzony z Niemcami Tamasese zaledwie kilkuset ludźmi rozporządza. Jak łatwo więc powstać mogą zajścia i zatargi, które znów pociągnąć mogą za sobą nie dające się na razie obliczyć międzynarodowe nieporozumienia. Prawdą też jest, iż w drodze do wysp samoańskich znajduje się kilka angielskich i kilka amerykańskich okrętów wojennych, które staną na straży interesów poddanych angielskich i amerykańskich. Jak poważnie zapatruje się w ogóle rząd amerykański na sprawę samoańską, przekonać się możemy ztąd, iż oszczędny zwykle kongres amerykański uchwalił w tych dniach bez namysły razem blizko 2 i pół miliona marek (600 000 dolarów) w „celu zapewnienia swych praw i zobowiązań traktatowych względem Samoy.“

W każdym razie uwydatnia się to z każdą chwilą coraz wyraźniej, iż marzenia kolonialne nie przynoszą Niemcom ani chwały, ani najmniejszych nawet korzyści.

Rosya. Z Orenbura odbiera „Dzień. Pozn.“ o prześladowaniu Unitów list następującej treści:

Dla Unitów wysłanych do gubernii orenburgskiej — jak donosiliśmy w poprzednich korespondencyach — wybudowano domy i nadano im grunta. Ponieważ jednakże Unici ani domów ani gruntów nie chcieli przyjąć, odprowadzili ich w towarzystwie policyi na miejsce przeznaczenia. Unici, opuściwszy swe mieszkania, wyruszyli w stepy. Straż, dopędziwszy ich w stepie, okrążyła ze wszystkich stron i trzymała jakby w oblężeniu przez kilka tygodni, przy czem wielu z Unitów rozchorowało się. — Były nawet wypadki śmierci w skutek pobicia Unitów. Następnie na rozkaz władzy wyższej umieszczono Unitów u włościan pojedyńczemi rodzinami i wyznaczono na życie dziennie dla dorosłych osób po 8 kopiejek, a dla dzieci po 4 kopiejki. — Pozostają oni dotychczas rozproszeni w rozmaitych miejscowościach gubernii orenburgskiej, nie mając z sobą żadnych stósunków, gdyż temu przeszkadzają znaczne przestrzenie. Ostatnia partya Unitów, wysłana z Podlasia, przybyła do gubernii orenburgskiej w Październiku. — Dopytywali się o księdza, lecz dowiedzieli się, że do najbliższej parafii 360 wiorst (51 mil. Przyp. Red.) Podróż odbywali na dwóch kolosalnych wozach. — Przed wyprawieniem z Podlasia odbywa się najściślejsza rewizya. Unitom nie pozwalają ze sobą zabierać pieniędzy. Jeżeli przy rewizyi znajdą, to takowe zabierają. Podobne rewizye odbywały się i po drodze w więzieniach. Jeżeli nawet mimo tych ścisłych rewizyi Unitom uda się ukryć pieniądze, to ukradną je złodzieje, z którymi razem osadzają Unitów w więzieniu. — Podobny wypadek zdarzył się 70-letniemu starcowi. Słyszał on, jak mu w więzieniu jeden ze złodziei odrzynał kieszeń, w której było 20 rubli, lecz obawiając się, by go złodzieje nie zabili w więzieniu, milczał; wreszcie wiedział, że mu i tak zabiorą pieniądze.

KORESPONDENCYE.

— Długoletnie życzenia naszych parafian przychodzą nareszcie do skutku, bo otóż dowiadujemy się, że od świętego Jana br. będzie ustanowione probostwo przy kościele św. Jadwigi. Z tego powodu odbieramy następującą korespondencyą

z miasta.

Kochani Bracia Katolicy! Niech mi będzie wolno podzielić się z wami radosną nowiną, bo otóż dowiedziałem się, że wielka nasza parafia ma być podzieloną na dwie części, to jest, przy kościele św. Jadwigi będzie ustanowione probostwo. Już nawet komornicy podobno mają wypowie-

---

śmiertelna chwała okryje całą Kalifornię. Umysły kobiece niemniej podnieca znowu następny numer programu: oto, tenże sam potężny Orso będzie nosił na trzydziesto - stopowym maszcie małą panienkę Jenny „cud świata,“ o której ogłoszenie mówi, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaka żyła na ziemi „w owych czasach.“ Dyrektor, mimo, iż Jenny liczy dopiero lat trzynaście, ofiaruje również sto dolarów każdej dziewicy „bez względu na kolor skóry,“ któraby ośmieliła się stanąć w zawód pod względem piękności z „aniołem powietrznym.“

Tymczasem ruch koło cyrku powiększa się z każdą chwilą. Z pośrodka długich szop drewnianych otaczających właściwy płócienny cyrk, dochodzi ryk lwów i słonia; papugi poprzyczepiane do kół zawieszonych przy szopach wrzeszczą w niebogłosy, małpy huśtają się na własnych ogonach, lub przedrzeźniają się publiczności, trzymanej w oddaleniu sznurami rozciągniętemi wkoło budynków. Nareszcie z głównej szopy wyjeżdża procesya, której celem zaciekawić do tego już stopnia publiczność, żeby aż skamieniała. Przodek procesyi stanowi ogromny wóz zaprzęgnięty w sześć koni z piórami na głowach. Woźnice w kostiumach pocztylionów francuzkich powożą z siodła. Na wozach stoją klatki ze lwami. Za wozem postępuje słoń pokryty kobiercem, z wieżą na grzbiecie i łucznikami w wieży. Trąby grają, bębny biją, lwy ryczą, bicze klaskają, słowem cała karawana jak gomon posuwa się naprzód z hałasem i wrzawą; niedosyć na tem: za słoniem toczy się maszyna z kominem jak u lokomotywy, podobna do organów, na której para gra a raczej kwiczy i wyświstuje najpiękniej. Chwilami para dłużej zatrzymuje się w dudzie, a wtedy z dudy wychodzi zwyczajny świst, co jednak nie zmniejsza wesołości tłumów, które słuchając tej pieśni kwiczącej parowej nie posiadają się z radości. Amerykanie krzyczą: hurra! Niemcy: hoch! Meksykanie: e viva! Indyanie zaś wyją z zadowolenia jak dzikie zwierzęta.

Tłumy ciągną za wozami, miejsce naokół cyrku wyludnia się, papugi przestają wrzeszczeć, małpy przewracać koziołki. Na wozach jednak niema ani „niezrównanego na bacie“ dyrektora, ani niezwyciężonego „Orsa,“ ani „anioła powietrznego Jenny.“ To wszystko chowa się dopiero na wieczór, aby tem większe wywołać wrażenie. Dyrektor siedzi gdzieś w szopie lub zagląda do kas, w których jeno Murzyni wyszczerzają białe zęby do publiczności. Orso zaś i Jenny mają właśnie próbę w cyrku. Pod płóciennym jego dachem panuje jednak cisza i mrok. Głąb, w której piętrzą się coraz wyżej ławki, prawie zupełnie jest ciemna, największa natomiast ilość światła wpada przez płócienny dach na wysypaną piaskiem i otrębami arenę. Przy owych szarych przecedzonych przez płótno blaskach, widać stojącego w pobliżu konia, wedle którego niema nikogo. Grubo-płaski koń nudzi się widocznie, opędza się ogonem od much i kiwa o ile może łbem przywiązanym na białym rzemyku i podgiętym ku piersiom. Powoli oko odkrywa i inne przedmioty, jako to leżący na piasku drąg, na którym Orso nosi zwykle Jenny i kilka obręczy zaklejonych bibułą, przez które Jenny ma skakać — ale wszystko to leży niedbale porozrzucone, cała zaś półoświetlona arena i mroczny zupełnie cyrk robi wrażenie pustkowia z pozabijanemi oddawna okoami. Szeregi spiętrzonych ławek w niektórych tylko miejscach obrzucone blaskiem, wyglądają jak rumowiska, stojący ze spuszczonym łbem koń, nie ożywia obrazu.

Gdzież są Orso i Jenny? Jedno z pasm wkradającego się przez szpary światła, w którem kręci się i wiruje kurz, pada jako złota plama na zagłębienie dalszych ławek. Plama ta posuwa się zgodnie z ruchem słońca na dworze, a w końcu roześwietla grupę złożoną z Orsa i Jenny.

Orso siedzi na wierzchu ławki, przy nim zaś Jenny. Jej śliczna dziecinna twarzyczka przytulona jest do ramienia atlety, a ręka otacza jego kark i zwiesza się na drugiem ramieniu. Oczy dziewczynki wzniesione są do góry, jakby słuchała słów towarzysza, który pochylony nad nią, porusza od czasu do czasu głową, niby tłomacząc coś i przekładając. Tak przytulonych do siebie możnaby wziąść za parę zakochaną, gdyby nie to, że odziane w bladoróżowe trykoty nóżki Jenny, nie dostając do ziemi, kiwają się w tył i naprzód ruchem zupełnie dziecinnym, który nazywa się także robieniem garnków, a jej wzniesione oczy wyrażają raczej zasłuchanie się i mocne natężenie myśli, niż inne jakie romantyczne uczucie. Przytem kształty jej przybierają dopiero pierwsze zarysy kształtów kobiecych. W ogóle Jenny jest jeszcze dzieckiem, ale tak uroczem, że trudnoby wymarzyć coś podobnego. Jej drobna twarzyczka jest po prostu anielska, ogromne, smutne, niebieskie oczy mają wyraz głęboki, słodki, ufny; ciemne brwi rysują się z nieporównaną czystością na czole białem i jakby zamyślonem, na które płowa, jedwabista, trochę bezładna czupryna rzuca cień, jakiegoby się nietylko mistrz Harvey, ale i pewien inny malarz, nazwiskiem Rembrandt nie powstydził.

Siedząc w paśmie złotego światła, na tle głębokiem i ciemnem, wyglądają jak jakie zjawisko słoneczne i przezroczyste, a przytem kształty jej wysmukłe tworzą proste przeciwieństwo z kwadratową postacią chłopaka.

Orso ubrany w cielisty trykot wydaje się zdaleka nagim, a tenże sam promień oświeca jego rozrosłe, zbyt szerokie bary, zbyt wypukłą pierś, zapadły brzuch i zakrótkie w stósunku do długiego ciała nogi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

dziane mieszkanie w jednym domu obok kościoła, bo tam ma zamieszkać od św. Jana nowy ks. Proboszcz. Granica nowej parafii ma dochodzić aż do kolei, prowadzącej do Świętochłowic. Przypominają mi się tu słowa naszego dawniejszego proboszcza śp. ks. Delocha, który budując kościół św. Jadwigi mówił, iż tak daleko będzie sięgać granica parafii, jak kolej przerzyna nasze miasto. Ten dobry pasterz tego nie dożył, ale gdy wspomnę z jakiem poświęceniem dla swych owieczek pracował, to serce moje przepełnia się wdzięcznością i rozrzewnieniem. Tak n. p. gdy został wybudowany ten śliczny kościół w Lipinach, to nie ubiegał się ten zacny kapłan o pieniężne dochody, lecz odłączył parafią lipińską i powierzył ją czcigodnemu i obecnie wielce zasłużonemu księdzu Michalskiemu, który pracuje jak dzielny ogrodnik w winnicy Pańskiej.

Teraz ziściły się zamiary śp. ks. Delocha. On to powierzał jeszcze na łożu śmiertelnem swoim ówczesnym księżom kapelanom naszą parafią. Pomnąc na polecenie księdza Delocha nie zaniedbał nasz czcigodny ks. proboszcz Łukaszczyk (naówczas kapelan) swych obowiązków, lecz przeciwnie jak najgorliwiej pracował, ale teraz widząc, że już nie podobna mu podołać, postarał się o to, aby parafia została rozdzielona. Jestto zaprawdę wielkie dzieło, jakie mu się udało przeprowadzić, a my powinniśmy sobie to za zaszczyt uważać, że nasz szanowny ks. proboszcz dla naszego dobra to uczynił.

Szczęść, Panie Boże, naszemu księdzu Proboszczowi, i naszym przyszłym pasterzom, a dozwól, ażeby zawsze miłość i zgoda pomiędzy nami panowała.

Lubom (pow. Racibórz.)

— Przeczytawszy korespondencyą w nr. 15. „Głosu L. G.“ zatytułowaną: „Dla ludu Górnoszlązkiego“ — pomyślałem sobie: ach gdyby było jak najwięcej takich czcigodnych rodaków, jak ów korespondent, — który wyraził nietylko szczere poczucie narodowości, ale i nadzieję zwycięztwa, połączoną z silną wiarą w pomoc Bożą, za wstawieniem się N. Maryi Panny. Kochani Rodacy! z taką wiarą i nadzieją udawajmy się wszyscy, do tej Królowej naszej na Jasnej Górze, a ta nam zawsze będzie prawdziwą pocieszycielką w strapieniach, — pomocą w trudnych a ciężkich kolejach życia, — i pośredniczką, za której przyczyną — da nam Bóg zwycięztwo! Tak kochani Bracia, pracujmy szczerze, a módlmy się gorąco, — cierpmy i znośmy wszystko złe, mężnie i cierpliwie, — zachęcajmy oziębłych Braci naszych do sumiennego wypełniania obowiązków religijnych i narodowych, broniąc wytrwale, świętych praw naszych, — a wtedy możemy być pewni, że żadna moc ludzka nie zdoła nas zgnębić i zniweczyć!

A teraz odzywam się kilku słowy do Was, szlachetne niewiasty, — proszę Was w imię tej Matki Bożej, czytujcie gazety polskie, bo to jest koniecznem, nietylko dla Waszej oświaty, — lecz potrzebnem do wychowania młodego pokolenia, pożytecznem dla narodowości. Moje bowiem przekonanie jest takie: że dopóki Wy Matki, będziecie warte nosić miano Polek, to naród nasz nie upadnie! Daj Boże, aby te parę słów moich z serca wypowiedzianych, przyniesło skutek pożądany! —

Wiadomości miejscowe i potoczne.

Na kościół św. Stanisława na Skałce w Krakowie

złożyli pp. Franciszek Kott z Michałkowic 2 m., R. Schmidt z Królewskiej Huty 1 m.

Razem z poprzednimi 7 m. 10 fen.

Dalsze dary chętnie przyjmujemy.

Królewska Huta. W poniedziałek wieczorem popełniono w naszem mieście dwie bezczelne kradzieże. W jednej z tutejszych restauracyi skradziono bowiem pewnemu panu płaszcz, podczas gdy w lokalu znajdowało się wiele gości. Tego samego wieczora zabrano z restauracyi pani M. na ulicy Kościelnej regulator (zegar), podczas gdy goście znajdowali się w przyległym pokoju. Jak się zdaje, obydwie kradzieże zostały popełnione przez te same osoby i wprawdzie przez dwóch młodych ludzi i dwudziestoletnią dziewczynę, ponieważ tychże w obydwóch restauracyach widziano, a krótko po ich zniknięciu rzeczone przedmioty zginęły.

— Niezwykłe zdarzenie nagłego uleczenia głuchoniemego. Z Water w Anglii, piszą o dziwnym tym zdarzeniu: Pewien robotnik z kopalni węgla w Rhoddasthale utracił wskutek eksplozyi gazów podziemnych, która wybuchła tamże w roku 1880, słuch i mowę. Całe 4 lata nieszczęśliwy ten człowiek, ubezwładniony zupełnie, musiał przeleżeć w łóżku. Powoli uzyskał użycie członków, nie wracały tylko słuch i mowa. Radził mu wskutek tego pewien lekarz, ażeby podobnemu poddał się wzruszeniu, jakie go naraziło na utratę owych organów. Przed niedawnym czasem, kiedy w jednej ze szacht w Treherbet zaczęto rozsadzać kamienie, postawił się w możliwej bliskości i odzyskał przy szóstym huku słuch. Nie wracała jednak mowa. Napomnienia atoli, które jakiś misyonarz dawał głuchoniemym, tak go oburzyły, że przy gwałtownej chęci odpowiedzenia mu, odzyskał nagle i mowę.

— Zaciekły zbrodniarz. „Kuryer Lwowski“ donosi: W osadzie leśnej Jeziorowice pod Częstochową Michał Pogorzelec, pozostający w służbie u nadleśniczego p. Byczkowskiego, w czasie jego nieobecności w domu, zabił siekierą w stajni kucharkę. Gdy na krzyk mordowanej weszła do stajni znajdująca się w pobliżu pokojówka, zbrodniarz rzucił się na nią, zadając jej cios w głowę, ale pomimo ciężkiej rany, pokojówka zdołała wydostać się na podwórze i wezwać pomocy.

Wołanie pokojówki usłyszała pani Byczkowska, a ujrzawszy oknem upadającą i zalaną krwią służącą, nie wiedząc co się stało, pospieszyła do niej z pomocą; w tej chwili zaciekły zbrodniarz, na widok przybywającej pani, rzuca się na nią, przemocą wciąga do stajni i tam kilka uderzeniami zabija.

W tym czasie brocząca we krwi pokojówka, zebrawszy siły, zdołała dowlec się do domu i zamknąć za sobą drzwi.

Wśród krzyku i zamieszania, 8letnia córeczka państwa B., wybiegła na podwórze, wzywając matki. Nienasycony zabójca, usłyszawszy nawoływanie dziecka, wypada ze stajni, a powaliwszy jednem uderzeniem nieszczęśliwe dziecko, rozpoczyna poszukiwanie ukrywającej się pokojówki.

Gdy szaleniec dobywał się do mieszkania, w tej chwili ozwały się głosy powracających z wesela z okolicy włościan, na co ukrywająca się pokojówka, zebrawszy ostatnie siły, dotarła do okna, wzywając rozpaczliwie pomocy przechodniów, którzy też podbiegli i z niemałym trudem zdołali rozbroić i ująć zbrodniarza. Pokojówka i córeczka państwa B. dotąd żyją.

— Ze żartu do zbrodni przyszło w pewnej wiosce węgierskiej. Woźnica Józef Vadasz rzucał na kolegę swego Dereka kulami śniegu. Derek widocznie nie był usposobiony do żartów, chwycił za żelazne widły i uderzył niemi tak nieszczęśliwie Vadasza, że ten na miejscu ducha wyzionął.

— Przykład agitacyi ajentów emigracyjnych i niesłychanej łatwowierności włościan galicyjskich. Konsulat w Amsterdamie doniósł w tych dniach ministerswu spraw zagranicznych we Wiedniu, iż siedmiu włościan galicyjskich z zachodniej części kraju, a mianowicie z gminy Roździele przybyło prawie bez żadnych środków do Nowego Jorku. Ztamtąd udali się ci biedacy do Rotterdamu, gdzie również jak w Nowym Jorku nikt ich zrozumieć nie mógł, bo mówili tylko po polsku, ani też żadnej podać im pomocy. Nieszczęśliwi ci musieli być wysłani z powrotem do kraju, nacierpiawszy się dość nędzy i głodu.

Bytom. „Katolik“ pisze: Odpowiedzialny redaktor „Katolika“ p. Edward Radziejewski został w sobotę 23-go b. m. przez sąd tutejszy skazany na 3 miesiące więzienia. Prokurator wytoczył mu proces za artykuł o kolonizacyi w nr. 68 „Katolika“ z. r. umieszczony i korespondencyą z Raciborza z tego samego numeru. Wskazywano tam, że kolonizacya ma na celu szerzenie protestantyzmu w katolickich, polskich stronach Poznańskiego i Prus Zachodnich, a w korespondencyi narzekano na prześladowanie polskości. Prokurator upatrzył w tych artykułach fałszywe twierdzenia, które przepisy rządu w oczach ludu poniżyć mogą. Sąd powyższą orzekł karę.

Katowice. Do tego czasu było wolno wszystkim tym Polakom, którzy jako obcy poddani podlegli prawu banicyjnemu (o wydalaniach), od czasu do czasu za paszportem wracać przez granicę. Niektórym handlarzom pozwoliła nawet policya z artykułami żywności na tutejsze targi przybywać. W ostatnim czasie ustało to poczęści. Ludziom, którzy po wydaleniu zamieszkali w Oświęcimiu i z tamtąd w tanie artykuły żywności nasze targi zaopatrywali, oświadczono, że już nadal tego im czynić nie wolno. Najwięcej cierpią na tem nasi miejscowi konsumenci, ponieważ dla naszej licznej ludności dowóz z Galicyi jest niezbędnym. Owoc, siano, świeże ryby, drobiazg itd., na których tam za granicą nie zbywa, bywają tu za tanie pieniądze sprzedawane, co mianowicie dla ubogich ludzi jest bardzo dogodnem. Gdybyśmy nie znajdowali się tak blisko nad rosyjską i austryacką granicą, to trudnem by było położenie naszych robotników górniczych i hutniczych.

— W Zaborzu odbędzie się w tę niedzielę nadzwyczajne zgromadzenie Towarzystwa św. Barbary. Zarząd prosi o liczny udział. —

Lubom (przy Raciborzu). Piszą nam z tąd: W poniedziałek dnia 25go Lutego uległo się u jednego z naszych posiedzicieli cielę zwyczajnej wielkości z dwoma głowami Dla lepszego zrozumienia chcę tu opisać jak ten dziwoląg wygląda.

Cały skład ciała jest naturalny, obie głowy znajdują się na jednej szyi. Kształt obu głów jest naturalny. Każda głowa ma dwa uszy, dwa oczy i zwyczajny pyszczek. Ta tylko jest różnica, iż głowa z prawego boku jest o rozeznanie mniejsza od lewej. Lewa zaś jest regularnej wielkości w stósunku do reszty ciała. Do tej chwili, gdy to piszę, jest cielę przy życiu i pokarm przyjmuje, a krowa, od której pochodzi ten dziwoląg, jest zdrowa. —

— Z Szynwałdu (w Prusach Zachodnich) piszą do „Westpr. Volksblatt“: „Właściciel D. katolik wybrany był w roku 1882 wójtem tutejszej gminy i przez wydział powiatowy w urzędzie zatwierdzony. Gdy czas jego urzędowania sześcioletniego minął, wybrano go znowu jednogłośnie wójtem. Tą razą wydział powiatowy go nie zatwierdził i to dla „niedostatecznej kwalifikacyi,“ chociaż D. przez czas sześcioletni urząd swój sprawował na zadowolenie gminy i swych przełożonych. Po rozpisaniu nowych wyborów wybrano właściciela N., którego wydział nie zatwierdził dla tej przyczyny, że N. jest Polakiem. W końcu zamianował p. landrat bez wszystkiego wójtem dotychczasowego woźnego wójtowskiego. Pożądanem byłoby się dowiedzieć, czy podobne rzeczy i gdzieindziej się dzieją.

Warszawa. Dnia 17-go bm. około godz. 1ej po południu budowniczy tutejszego okręgu naukowego p. Władysław Kosmowski zginął straszną śmiercią. Nadzorca gmachu gimnazyum żeńskiego przy ulicy Rymarskiej zawiadomił p. Kosmowskiego o pewnych uszkodzeniach na dachu trzypiętrowego domu. Budowniczy przybyszy na ulicę Rymarską, postanowił zbadać stan rzeczy na miejscu i w tym celu przez strych i wylot dymnikowy dostał się na wierzch dachu, z którego przed chwilą robotnicy zrzucali śnieg. Wskutek tego powierzchnia dachu była śliską i pan Kosmowski z trudnością odbywał niebezpieczną przechadzkę, oglądając nader skrupulatnie wszelkie uszkodzenia. Nagle, gdy był blisko brzegu od strony podwórza, pośliznęła mu się noga. Jeden z robotników widząc upadającego i staczającego się po pochyłości budowniczego, usiłował go uchwycić za brzeg surduta. Było już jednak za późno. Budowniczy stoczył się w otwartą przepaść i spadł na dach przylegającej z boku parterowej oficyny. Tu ciało odbiło się o blachę i spadło na bruk podwórza. Wezwany bezzwłocznie felczer, a następnie lekarz stwierdzili tylko, iż śmierć nastąpiła na miejscu.

Kalendarz. Piątek 1go Marca Albina B., sobota 2-go Marca Simplicyusza, niedziela 3go Marca Kunegundy, poniedziałek 4go Marca Kazimierza K.

Wschód słońca o godzinie 6 minut 49 zachód o godz. 5 minut 37.

Jarmarki w miesiącu Marcu.

4-go Opole. Tarnowice. — 5-go Racibórz. — 7-go Gorzów, Proszków. — 11-go Gliwice, Dobrodzień, Kietrz. — 13-go Bieruń, Mikołów. — 14-go W. Strzelce, Biała. — 18-go Grotków, Pokój, Głubczyce, Lubliniec. — 19-go Wodzisław, Opole. — 20-go Królewska Huta. — 21-go Pilchowice. 26-go Prudnik, Ujazd, Woźniki. — 27-go Wielowieś, Żory.

Janek i Filipek.

Janek: Jak się masz Filipku?

Filipek: Dzięki Bogu zdrowo.

Janek: Takeśmy przeszłą razą mieli wiele do mówienia, że zapomniałem cię zapytać, czyś to czytał w numerze 15. „Głosu L. G.“ o tej kobiecie w Król. Hucie, co to temu kupcowi tak dzielnie wypaliła?

Filipek: Naturalnie, że czytałem. Mądrze sobie postąpiła. Gdyby to tak wszystkie nasze Górnoszlązaczki czyniły?

Janek: To co! toby pewnie niemieccy kupcy wszyscy od nas powędrowali.

Filipek: Tak jest; mianowicie ci, którzy niechcą po polsku mówić, to niech sobie idą do Niemców, a my przez to będziemy od swoich kupować, i pieniądz zostanie między nami.

Janek: Cha! cha! mój Filipku, ale to tak nie będzie, i tego się nie doczekamy, bo nasi Polacy, to zawsze lubią cudzych więcej wspierać, jak swoich braci.

Filipek: Przez to sobie sami szkodzą, i muszą nieraz biedę cierpieć i prześladowanie ze strony przeciwnej, gdyż jak to często nazywają nas głupimy Polakami, a przybysze się bogacą, swoich synów do wielkich szkół posyłają i mają swoich burmistrzów, adwokatów, sędziów i t. d., a Polacy muszą pracować jak woły, chociaż byśmy to samo mogli mieć, bo to jest nasza ziemia, na którejśmy się urodzili.

Janek: Oj, szczerą prawdę mówisz, mój Filipku. Ale to nic nie pomogą te nasze mowy, bo nasi Bracia nie uważają na dobre rady.

Janek: Trzeba jednak nie zasypiać gruszek w popiele, tylko budzić tych śpiących.

Janek: Dobrze mój Filipku, od dzisiejszego dnia już nie będę do przybyszów chodził, tylko do swoich, i będę się starał o to, żeby nasi Bracia tak samo do innych nie chodzili tylko do swoich.

Filipek: Dajmy sobie ręce, gdyż i ja tak samo, mój Janku, będę się starał, i każdemu, jak się spotkam gdzie z naszymi braćmi, powiem, żeby chodzili do swoich. No żegnam cię Janku.

Janek: Idź z Bogiem.

Szanownej Publiczności

Królewskiej Huty i okolicy a osobliwie wszystkim Rodakom i Wiarusom polecam się do wykonania

wszelkich robót szewskich,

tak nowych jak też i wszystkiej reparacyi przy starem obuwiu. Zarazem obiecuję każdego sumiennie i rzetelnie obsłużyć.

Z wysokim szacunkiem



Jan Gaettner,
mistrz szewski,
Ulica Bismarka 69.

Kalendarz Ludowy

illustrowany

na rok zwyczajny

1889.

Opracowany przez Górnoszlązaków

Rocznik I.

Cena 20 fenygów (dawniej 50 fenygów)

ma na składzie

Piotr Kołodziej,
Huta Laury. (Laurahütte.)

Na porto trzeba dołączyć 10 fenygów

E. Knetsch,

zegarmistrz, Huta Laury,

w domu pana Juliusza Fränkel,

poleca się do

wykonania reparatur

zegarków każdego rodzaju

po tanich cenach. — Wysokość ceny podaję natychmiast.

Za regularne chodzenie ręczę sumiennie gwarancyą.

Sprężyny do zegarków kieszonkowych

każdego rodzaju mam po 1,50 m.

Gwarancyi udzielam na cały rok.

Zaproszenie do przedpłaty

na

Stary Testament

z 30 rycinami.

Księgi Starego Testamentu wychodzą od 1. Stycznia 1889 roku nakładem **Księgarni Katolickiej w Poznaniu**, na pięknym welinowym papierze, we wielkim formacie, każda stronnica w gustownej obwódce, druk wyraźny.

Co miesiąc ukazuje się jeden zeszyt wielkiego formatu w okładce o trzech arkuszach czyli 24 stronnicach druku z pięknemi obrazkami. — Wszystkich zeszytów będzie 20.

Dzieło zaopatrzone w aprobatę kościelną.

Cena zeszytu wynosi tylko 40 fen.

już z przesyłką franko.

Zeszyt I-szy wyszedł 1-go Grudnia 1888 r. i można go każdej chwili nabyć za 40 fen. Zeszyt drugi wyszedł 1-go Lutego 1889 r. Całe zaś dzieło ukończonem zostanie na 1-go Sierpnia 1890 roku.

Kto zbierze 5 prenumeratorów dostanie jeden expl. za darmo.

(W zeszłym roku 1888 wydaliśmy Nowy Testament, którego zeszyt tylko 30 fen. kosztował, obecnie Stary Testament jest o 10 fen. droższy, ale za to druk jest większy i rycin jest wiele więcej).

Za darmo ! !

Wszyscy, którzy nadeślą od razu należytość na całe dzieło, odbiorą zaraz odwrotną pocztą

za darmo:

jeden piękny obraz w olejnym druku

wielkości 41 cm. szeroki, 50 cm. wysoki, lecz trzeba, aby na porto i opakowanie tego obrazu dodali 60 fen., a więc powinni razem wszystkiego **8 mk. 60 fen.** nadesłać. Obraz można sobie wybrać **jeden** z następnych: Serce Jezusa, Serce Matki Boskiej, Pan Jezus w cierniowej koronie, Matka Boska Bolesna. Kto nie chce obrazów może dostać książkę z pięknemi przykładami i rozmyślaniami pod tytułem **„Złoto i Błoto“**, której cena zwykła jest 2 mk., lub jeden rocznik pisma ilustrowanego pod tytułem: **„Prawdą a Bogiem“**, lecz na porto i opakowanie trzeba także 60 fen. dołączyć, a więc razem 8 mk. 60 fen. nadesłać.

Należytość trzeba nadsyłać naprzód przekazem pocztowym wprost do

Księgarni Katolickiej w Poznaniu, ul. Wodna 25.



Baczność.

Donoszę uprzejmie Szanownej Publiczności, że przyjmuję wszelkie zamówienia w zakres roboty krawieckiej, **garderoby męzkiej** wchodzące, ręcząc za rzetelne i dokładne wykonanie.

Przytem nadmienić muszę, że posiadam

bardzo liczny zbiór prób

od najtańszych do najdroższych materyałów z pierwszorzędnych fabryk.

Królewska Huta, ul. cesarska.

Z uszanowaniem

Ferdynand Kotuła.



Szanownej publiczności Królewskiej Huty i okolicy zwracam uwagę na mój

Wielki skład Mąki i Krup

wszelkiego gatunku, także i

różnych Wiktuałów.

Proszę o łaskawe poparcie, przyrzekam rzetelną i sumienną usługę.

Dla sprzedawających

udzielam

Wysoki Rabat.

Królewska Huta,
Rynek obok Ratusza.

Z szacunkiem
Józef Koska.

Szanownéj Publiczności

Królewskiej Huty jak i okolicy polecam:

zawsze świeżo **paloną kawę** po 1,20 m., 1,40 m., 1,60 m i 1,80 m, jak i wielki mój skład towarów w rozmaitych gatunkach, osobliwie: **kolonialnych, krótkich, żelaznych, galanteryjnych, tabaki i cygar, farb**, wszelkie gatunki **wełny, towary łokciowe, chusty, gotowe ubiory. — Harmoniki, lampy, papier szkolny, wino węgierskie** słodkie i cierpkie, jako też wszystkie inne rozmaite towary po najtańszych cenach a dobrej mierze i wadze.

Królewska Huta,
Ulica Pudlerska (Puddlerstrasse).

A. Jonczyk.

Tu można zapisywać sobie także **„Głos Ludu Górnoszlązkiego“**, wychodzący dwa razy w tygodniu. **Cena kwartalna tylko 1 markę.**

Jan Paul (w Karfie)

sprzedaje:

1 funt cukru bez papieru ważony	za 32 fenyg.
1 funt kawy palonej	od 1,20 do 1,80 -
1 funt faryny	za 30 -
1 funt mydła	za 25 do 30 -
1 funt sody	za 5 -
1 funt krochmal skrobek	za 25 do 30 -
25 funtów Hausback	za 2,90 -
1 funt presówki gniecionki	za 1,00 do 1,20 -
Wina prawe butelka	od 1,00 do 2,50 -

Polecam także mój bogato zaopatrzony skład żelaza (garnki, gwoździe i t. d.), piecy etc.

Dobrą

Restauracyą,

wyborne trunki i znakomitą kuchnię, wina różnego gatunku: węgierskie, nadreńskie, francuzkie i t. d., **wyborne piwa i likiery, czyste Hawanna cygara** poleca

z uszanowaniem

Franciszek Niestroj,
Król. Huta (Menzelstr.)

Gospodarstwo

obejmujące 35 do 40 mórg dobrej roli i łąkę, przytem dom mieszkalny murowany wraz z stajnią pod jednym dachem za 2 tysiące 200 talarów za zaliczką 500 talarów zaraz do sprzedania

Leon Popp,
Gliwice,
Klasztorna ulica 25 (Klosterstr.)

Tanio! Tanio! Tanio!

Do Komunii św.

materye na suknie, batysty, chusteczki do okrycia, ubiorki dla chłopców, dzienne koszule, kołnierzyki, krawaty, jako też płótno na koszule, poszwy, biegacze, ubiory dla mężczyzn i dzieci sprzedaje ze wszystkich tutejszych składów najtaniej

S. Kober,
Królewska Huta,
ulica Gliwicka 70 (Kronprinzenstr. 70.)

Ważne dla wszystkich.

Poleca dobre, świeże towary, jako to: **mąki** różnego rodzaju, **rodzynki, migdały, orzechy, śliwki i t. d.**, także bogaty zaopatrzony **skład cygar**, jak również towary łokciowe.

R. Musch,
w Świętochłowicach.

Za ogłoszenia nie jest Redakcya odpowiedzialną.

Drukiem Fr. Plocha w Królewskiej Hucie.